



Kordian Tarasiewicz

część I z III

Sygnatura notacji: **N0088**
Data urodzenia: **1910 r.**
Data nagrania: **2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Krzysztof Wyrzykowski**
Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 52 min, część III: 48 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Kordian Tarasiewicz: Moje nazwisko Kordian Tarasiewicz, jestem synem Michała Tarasiewicza, znanego aktora w swoim czasie, który karierę rozpoczął od roli Kordiana Słowackiego w Teatrze Krakowskim imienia Słowackiego, i to stanowiło dla ojca początek bardzo błyskotliwej kariery, którą kontynuował w następnych latach.

Krzysztof Wyrzykowski: A kiedy zaczął pracę artystyczną pana ojciec?

Kordian Tarasiewicz: Premiera „Kordiana” była w 1898 roku w Krakowie i to była taka manifestacja patriotyczna, bo ta sztuka nie mogła być wystawiona w Warszawie, gdzie panowały władze rosyjskie, bo tam był zamach na cara i tak dalej, więc krakowska elita intelektualna, która przyszła na tę premierę, przeżywała te emocje bardzo silnie. Mówiono, że rektor, profesor Stanisław Tarnowski, siedzący w łoży, nawet się popłakał w pewnym momencie i tak dalej. Tak że to dawało taką specyfikę temu przedstawieniu, które potem było przez ojca szereg razy powtarzane. Jeśli chodzi o rodzinne stosunki, to muszę powiedzieć, że Tadeusz Tarasiewicz, mój dziadek, pochodził właśnie z Małopolski, z Galicji, urodzony w Szczyrzycu, i miał karierę taką handlowo-bankową w Krakowie. Między innymi pod koniec pobytu w Krakowie założył taki sklep na rynku głównym, róg ulicy Świętego Jana, więc ten taki bardzo punkt centralny. I to był taki sklep z różnymi rzeczami, jak to były wtedy modne, takie małe domy towarowe. I herbatę sprzedawał, i samowary, i cement, i jakieś inne artykuły. Niestety ten interes nie poszedł dobrze i zakończyło się to takim niepowodzeniem dziadka, że musiał ogłosić upadłość. Mam nawet w aktach dokument, zaświadczenie Stowarzyszenia Kupieckiego, że Tadeusz Tarasiewicz musiał ogłosić upadłość. I wtedy postanowił z całą rodziną przenieść się do Warszawy. Rodzina była liczna, bo mój ojciec miał jeszcze dwóch braci i dwie siostry. Natomiast ze strony matki,

która pochodziła z ziemiańskich sfer, jak to się mówiło, Marcinkowska z domu, również miała dwóch braci i dwie siostry. Więc takie były liczne dwie rodziny. Jak moi rodzice się zapoznali, był okres narzeczeński, a potem był ślub, to była taka w Warszawie wiadomość dosyć spektakularna, że taki znany aktor poślubił pannę Marcinkowską i tak dalej. Notabene trzeba powiedzieć, że w rodzinie Tarasiewiczów bardzo niechętnie widziano karierę artystyczną Michała Tarasiewicza. To były ciągle takie ciągle przesady szlachecko... jakiegoś, że to nazywano „komediant”, że to nie wypada w takiej rodzinie zacząć. Tak że ojciec przez parę lat pod pseudonimem występował. Początek kariery, nie pamiętam, jakie tam nazwisko było, obojętne, w każdym razie taka była sytuacja pozycji wśród inteligencji, że ten zawód aktora był traktowany dość niepoważnie. Natomiast muszę powiedzieć, że ja w 1910 roku w listopadzie się urodziłem i muszę powiedzieć, że ten początek dzieciństwa jakoś tak przesądził, że zacząłem brać udział w licznych podróżach. Czy to dało później efekt w moim życiu? W pewnym sensie tak, bo bardzo do dziś dnia lubię podróżować, zwiedzać i tak dalej. Ale wtedy to były zupełnie inne czasy i inne warunki podróżowania. Mianowicie w 1914 roku, nie wiem dlaczego, ale znalazłem się z matką w Szwajcarii. Czy to była jakaś sprawa choroby, jakiegoś leczenia? Nie mamy żadnych przekazów, żeby to wyjaśnić. Ale dramat polegał na tym, że w 1914 roku w sierpniu wsiedliśmy do pociągu ze Szwajcarii do Warszawy i wybuchła w międzyczasie wojna, 1 sierpnia. I pociąg jadący do Warszawy stanął w Poznaniu, i dalej już nie można było jechać, bo była wojna. I dopiero jakieś były wielkie starania ojca, żeby matkę jakoś urządzić w Poznaniu, tam nawet później doszedłem do takich znajomych, u których myśmy mieszkali przez pewien czas, i potem matka ze mną wróciła do Szwajcarii i tam dzięki pomocy Sienkiewicza, z którym się przyjaźnił ojciec, dopiero po pół roku żeśmy dotarli do Warszawy, szalenie pokrętną jakąś, skomplikowaną drogą przez Bałkany, gdzie też się toczyły walki. Matka wiele razy to opowiadała, ale mnie w młodym wieku to nudziły te opowieści, tak że nie doszły mnie szczegóły. W każdym razie wysłany tam pracownik firmy do Bukaresztu, który był neutralnym państwem, Rumunia w tym momencie, w 1915 roku, i dotarliśmy do Warszawy na Boże Narodzenie. Tak że to był taki pierwszy wypadek dosyć nadzwyczajny. Ale niedługo potem nastąpił drugi wypadek, również związany już z wojną, że ponieważ ojciec paszport miał austriacki, więc był po stronie Niemiec, które walczyły razem z Austrią przeciwko Rosji i przeciwko Francji. I jak zaczęła się groźba, że Niemcy zajmą Warszawę, to już w 1915 roku, władze rosyjskie postanowiły wszystkich ludzi, którzy mieli obywatelstwo obce, wrogie, przewieźć do Rosji. I myśmy w lipcu 1915 roku dostali zarządzenie, żeby spakować manatki, i razem z matką znaleźliśmy się po paru tygodniach w Riazaniu, za Moskwą. Ja byłem wtedy pięcioletnim chłopcem, więc mało pamiętam, ale pamiętam, jak zima przyszła, straszne śniegi były w Riazaniu, jakieś zasy i tak dalej, ale dzięki temu, że ojciec miał ten zawód aktorski, bardzo szybko się porozumiał z moskiewskimi znajomymi i tam ta cała kolonia polska zaczęła chodzić do teatru, który w czasie wojny zaczął funkcjonować, złożony z polskich aktorów. Jaracz był, właśnie ojciec był, Osterwa, taka śmietanka nawet aktorska występowała w wielu sztukach w Moskwie z dużym powodzeniem. Po pewnym czasie się zorientowano, że lepsze warunki będą mieli ci wszyscy aktorzy w Kijowie, i myśmy się przenieśli z Moskwy do Kijowa, i tam już teatr Rychłowskiego, nawet ja kiedyś byłem z wycieczką w Kijowie, odnalazłem to miejsce, gdzie ten teatr funkcjonował, polski. Żyliśmy w warunkach już lepszych, mieszkanie było i tak dalej. I dopiero w 1918 roku, jak Niemcy zawarli taki pokój separacyjny w Brześciu, który pozwolił na to, że Niemcy właśnie zajęli całą Ukrainę, pozwolili obywatelom swojego kraju, to znaczy właśnie myśmy należeli do tego niemieckiego obywatelstwa, pociągiem Czerwonego Krzyża udać się do Polski. To była wielka przygodowa podróż, bo ten pociąg raz stawał, nie miał węgla, musiał przepuszczać inne pociągi wojskowe i tak dalej, jednym słowem do Lwowa żeśmy coś jechali dziesięć dni, w sanitarnym pociągu, z takimi piętrowymi łózkami, no ale w każdym razie coraz bliżej było już kraju i po pewnym

czasie z powrotem znaleźliśmy się w Warszawie. Myśmy mieszkanie mieli na Nowowiejskiej, między Placem Zbawiciela a politechniką, taka była ulica Krótka wtedy, no i zaczęło się już życie normalizować, aczkolwiek jeszcze pod okupacyjnym ustrojem. Dopiero w listopadzie, jak wiadomo, jedenastego jest Dzień Niepodległości, niedługo zresztą będzie w tej chwili ta rocznica obchodzona, znaleźliśmy się właśnie już w Warszawie i byłem świadkiem pod koniec miesiąca, a właściwie na początku już nowego roku, bardzo historycznego wydarzenia, mianowicie ojciec wieczorem powiedział, żebym się nie kładł spać, bo wieczorem jeszcze wyjdziemy z domu. Nie wiedziałem o co chodzi. W każdym razie znaleźliśmy się po pewnym czasie, koło 11:00 wieczorem, na rogu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej, na tym skrzyżowaniu, gdzie było blisko dworca, tłumy ludzi z pochodniami i entuzjastyczne przyjęcie Paderewskiego, który wylądował, że tak powiem, na peronie dworca warszawskiego z Poznania jako ten słynny Polak, kompozytor, jednocześnie wielki patriota polski. Dzięki temu on później został pierwszym premierem rządu. Nie na długo, bo to nie była jego profesja zasadnicza, ale w każdym razie to było rzeczywiście wzruszające, jak te wypręgali konie, i entuzjazm, że ten początek niepodległości jest zaakcentowany przyjazdem Polaka, który przecież się przyczynił też do niepodległości, bo on się przyjaźnił z adiutantem prezydenta Wilsona i namówił Wilsona, żeby on w punktacji programu, co będzie, jak się wojna skończy, jaki będzie porządek w Europie, wstawił dodatkowo punkt, że musi być powołanie na nowo polskiego państwa. I gdyby nie ta pomoc amerykańska... A gdyby nie było rewolucji w Rosji, to właśnie nie wiadomo, czy Polska by po wojnie miała te granice, i to może była taka... Były różne koncepcje, żeby z Habsburgami połączyć Polskę. W każdym razie ten później traktat wersalski no jednak, mimo że tam była wielka bitwa o każdą piędź ziemi, ale w rezultacie żeśmy obronili swoje racje, i Lwów, i Wilno, i Poznań, i część Śląska jednak, mimo że tam były powstania i tak dalej, przypadły Polsce. No więc mieszkając na tej ulicy Nowowiejskiej, zaznajamiałem się z widokiem ówczesnym Warszawy i trzeba powiedzieć, że to było bardzo miasto ciche, spokojne i nie robiło wrażenia jakiejś takiej właśnie metropolii. Wszystko było bardzo takie, nawet powiedziałbym, czasem prowincjonalne. Dlatego o tym mówię, bo często warszawiacy mówili, że Warszawa to jest taki Paryż. Gdzie tam do Paryża? Ja mówię, że jedyny znak paryskości to był ten, że w niektórych sklepach, w cukierniach, takich eleganckich sklepach, na drzwiach były naklejone takie litery złote „entrée”. No więc jeżeli to miałoby świadczyć o paryskości, to proszę bardzo, ale nic więcej. Przecież było oświetlenie gazowe. Byli ci faceci z takimi drągami, którzy wieczorem z płomieniem pod kloszem tam odsuwali jakąś rączkę i gaz się zapalał, a światło gazowe, wiadomo, w stosunku do elektryczności, takie niebieskie było. Tak że zupełnie inny był wygląd miasta. Poza tym prawie nie było samochodów. Były dorożki liczne w zimie sanki, absolutnie, to było... Dzisiaj zapomnieliśmy o tym, że zima często płała figle i prawie nie ma śniegu, ale w ówczesnym okresie czasu jednak te sanki kursowały. Były zupełnie inne bruki, masę było kocich łbów. Niektóre ulice tutaj w Śródmieściu były drewnianą kostką zrobione, taka też była... jak koń po takiej drewnianej kostce kopytami, to odgłos był zupełnie inny. Wystawy sklepowe były bardzo skromniutkie, nieoświetlone, nieurządzone. Tak że to wszystko robiło wrażenie takiego troszkę miasta jeszcze troszkę nierozwiniętego w sensie komunikacyjnym i tak dalej. Podam też taki przykład, bo w 1923 roku mój ojciec umarł, nagle znalazł go martwego w pociągu jadącego ze Lwowa, i był bardzo taki pogrzeb na dużą skalę, z tego względu, że przewidziano, że kondukt zatrzyma się przed wejściem do Teatru Wielkiego na Placu Teatralnym i tam chór odśpiewa jakąś pieśń żałobną. No i chcę tutaj właśnie dodać rzecz, którą bardzo trudno nowemu pokoleniu, bo już dawnemu w Polsce, przyzwyczać się, domyślić, że wtedy piechotą się szło. Z Placu Zbawiciela na Powązki zasuwalimy, jak to się mówi, z całą rodziną i przyjaciółmi piechotą. To dzisiaj jest nie do pomyślenia. Przez dzielnicę żydowską się przechodziło, przez ulicę Nalewki i tak dalej. Więc to był taki obrządek, który należał do tradycji warszawskiej. Tak-

sówki dopiero w 1925 czy 1926 roku się pokazały, pierwsze taksówki. Zabawne, że był w „Ekspresie Wieczornym” czy w „Kurierze Czerwonym” taki konkurs, jaką nazwę polską przyjąć dla taksometru. I masa ludzi przysłała różne... między innymi „mknica”, później „pędka”, a przyjęło się w końcu, że „taxi”, „Taxi Makowski”, była taka pierwsza firma, która miała sześć czy siedem taksówek, więc była duża, a okazuje się, że to właściciel nazywał się Makower. Ale żeby gładziej było dla tych, którzy korzystają z taksówki, to nazwał się Makowski.

Krzysztof Wyrzykowski: A czy pamięta pan pojawienie się radia? Czy zapamiętał pan pojawienie się radia?

Kordian Tarasiewicz: Tak, jak najbardziej. W szkole cała była pasja do tego, żeby sobie samemu robić radioaparaty, więc takie pudełko od cygar było, później się taki drut, taki nie goły, tylko...

Krzysztof Wyrzykowski: W oplocie.

Kordian Tarasiewicz: Tak. To była taka cewka, którą się manipulowało, kryształowe, te kryształki, i taki drucik do tego, i na słuchawki. No i to było bardzo takie rozczulające, bo początkowo radio dwie godziny trwało, od 5:00 tam do 7:00. Program w gazecie był, że wiadomości i jakieś instrumentalne takie czasem popisy, no ale pamiętam, przecież byli sławni spikerzy z radia, pan Tadeusz...

Krzysztof Wyrzykowski: Bocheński.

Kordian Tarasiewicz: Bocheński i Sztompkówna Janina, to byli pierwsi tacy spikerzy, którzy byli bardzo popularni. Później program stale się rozszerzał, tak że wieczorem można było, kładąc się do łóżka... jeszcze jazzową orkiestrę z Poznania nadawano, z takiej dancingu „Power Royal” [?]. To były te pierwsze lata radiowe. Cóż by jeszcze dodać do tych warszawskich rzeczy? Trzeba powiedzieć, że poza tą skromnością tych sklepów, nie było neonów, nie było wystaw oświetlonych w sposób szczególny, odbywało się bardzo dużo imprez takich dla ludzi, rozrywkowych. Do nich przede wszystkim zaliczam sportowe pierwsze kroki, tutaj, na Agrykoli, Agrykola była takim parkiem sportowym, gdzie właściwie pierwsze wyniki międzynarodowe na olimpiadzie w Paryżu, która była w 1924 roku, to właśnie zdobywali sportowcy tutaj trenujący właśnie w Agrykoli. Pierwsze medale tam.

Krzysztof Wyrzykowski: A pan się sportem interesował zawsze?

Kordian Tarasiewicz: Myśmy się w szkole bardzo interesowali sportem, ja miałem kolegę nazwiskiem Lot, to była taka słynna rodzina sportowców warszawskich, no i dzięki temu... ale to już było później, to już w szóstej klasie, mnie i kilku kolegów przyjęto do sekcji tenisowej Legii, tutaj na ulicy Myśliwieckiej. To było takie wyróżnienie, bo myśmy nie byli pełnoletni i właściwie nie nadawaliśmy się jako członek klubu tenisowego, niemniej taki wyjątek zrobiono. Dzięki temu ja miałem okazję poznać narodziny tego tenisa już takiego na skalę zawodniczą i na skalę międzynarodową, który się tutaj objawił talentem... taki Tłoczyński, który z Poznania przyjechał jako chłopak do zbierania piłek i stał się później mistrzem Polski, karierę międzynarodową, to wszystko było właśnie za naszych tych czasów, jeszcze gdzie do szkoły średniej chodziliśmy. To był 1926 rok mniej więcej.

Krzysztof Wyrzykowski: Natomiast jak pan zapamiętał rok 1920 i zagrożenie ze strony wojsk radzieckich, które nacierały na nas?

Kordian Tarasiewicz: To wcześniej było. Więc właśnie to może jest ciekawe, że niebezpieczeństwo było szalenie już bliskie, bo jeżeli w Radzyminie były walki bezpośrednie między Polakami i bolszewikami, no to przecież 30 kilometrów od Warszawy. Nie czuło się jakiejś paniki. Ludzie zachowywali spokój. Moja matka często mnie zaprowadzała do uniwersytetu i tam panie z towarzystwa, jak to się mówiło, przygotowywały dla żołnierzy paczki. Tam przychodziły jakieś w skrzyniach, a trzeba było to w mniejsze porcje i ja tam asystowałem przy tym, więc to był taki ślad tego, że to wojna jest i trzeba tym żołnierzom jakoś pomagać w ten sposób. Notabene naprzeciwko uniwersytetu, jak wiadomo, jest Pałac Raczyńskich, i tam była główna kwatera generała Weyganda, który był szefem misji francuskiej. I tutaj muszę dodać rzecz, która do dziś dnia wzbudza emocje i kontrowersje, że jak przechyliła się szala zwycięstwa i Piłsudski uderzył znad Wieprza na front Tuchaczewskiego i od tego momentu zaczął się odwrót Rosjan, no to są ludzie polityczni, którzy uważają, że to nie był plan Piłsudskiego, tylko Weyganda. Tymczasem myśmy się z żoną przyjaźnili z państwem Orsztydami, który w 20. później latach był takim attaché militaire we Francji i zaprzyjaźnił się z Weygandem. Widywali się co kilka dni, zresztą Weygand był katolikiem takim praktykującym, codziennie chodził na msze i tak dalej, no i oczywiście rozmawiali o tej wojnie, która już była za nami. I nigdy Weygand nie twierdził, że nie. „To był wasz plan”. Dlaczego tak twierdził? No bo tak było, a po drugie, przecież Francuzi nie znali zupełnie wojny ruchomej. Tam były okopy i mordowali się ludzie w tych okopach, w których miliony ludzi zginęły, Francja później osłabiona została, ale to wszystko zawdzięczamy synowi tego Weyganda, że po śmierci jego ojca on zaczął gloryfikować pamięć ojca, niepotrzebnie zniekształcając historię prawdziwą. A dlaczego mówię o tym Pałacu Raczyńskich? Bo kiedyś tam byliśmy właśnie w połowie już sierpnia, czyli po tej bitwie decydującej, i Weygand już wyjeżdżał, no bo rola jego już się skończyła. I pamiętam takie rozhisteryzowane panie, jak on tam wyjeżdżał czy wjeżdżał do tego pałacu, to wrywały pelargonie, które nie nadawały się do tego, żeby rzucić te kwiaty w Weyganda, bo to dla tej prawicy, takiej bardzo skrajnej prawicy, to był bohater narodowy, a nie Piłsudski. Więc warto to przytoczyć.

Krzysztof Wyrzykowski: A w pana rodzinie były sympatie „pro-piłsudczykowskie” czy...

Kordian Tarasiewicz: Nie. Raczej ojciec prenumerował „Kurier Warszawski”, więc to była taka spokojna, zachowawcza prasa, ale z dystansem do Piłsudskiego. Bo Piłsudski socjalistą był do czasów młodości. Natomiast muszę powiedzieć, że niedługo potem, bo się obracamy w latach dwudziestych którychś, polityczna sprawa zaczęła się dosyć komplikować w Polsce. Ja w ogóle mam taki pogląd, takie powiedzenie, które się przyjęło w Polsce, że to był „cud nad Wisłą”. W cuda można wierzyć, można nie wierzyć, natomiast ja uważam, że zachować ten cud nad Wisłą, ale do innej okoliczności. Ja uważam, że cud nad Wisłą się stał dwa lata wcześniej, jak w 1918 roku trzy zupełnie obce sobie zabory... bo przecież ludzie się wychowali sto lat w innych warunkach, pod berłem niemieckim, w innych warunkach w austriackim i w innych warunkach w rosyjskim. Była inna waluta, inna administracja, inne zwyczaje prawne i tak dalej. I raptem jednego dnia to wszystko się musiało pogodzić, złączyć i funkcjonować. I jak patrzymy, że już w styczniu powołano sejm, wybory, to zdumiewa po prostu ten wysiłek Polaków, żeby tę ojczyznę jak najszybciej uruchomić. Więc to było właśnie wielkie i cenne zwycięstwo społeczeństwa. Natomiast w miarę, jak upływały lata, to Polacy, jak wiadomo, jak już nie ma tego niebezpieczeństwa takiego zasadniczego, to zaczynają się kłócić.

No i zaczęły się właśnie takie polityczne różne rozgrywki, które dla ludzi, którzy wierzyli, że polska odzyska niepodległość, to wszystko jak po maśle będzie szło, to nie zaczęło iść po maśle. No i mam taką pamiątkę rodzinną, mój ojciec zafundował kiedyś matce taki album i bardzo starał się, żeby do tego albumu wpisywali się różni znani ludzie. I między innymi wpisał się tam taki działacz poznański, pan Sejda, do mojej matki, taki bardzo serdeczny, na całą stronę opisany, że „pani Janino”, bo matka na imię miała Janina, „pamięta pani, jak rozważaliśmy, kiedy będzie ta niepodległość, i wierzyliśmy, że jeśli to nastąpi, no to właśnie będzie wielki efekt. I cóż teraz widzimy? Ciągłe kłótnie, ciągle jakieś swary, brak poczucia obywatelskiego i tak dalej, i tak dalej. I to napisał w lipcu 1922 roku. Mam wrażenie, że przeżył to bardzo silnie w pół roku później, jak prezydent Narutowicz został zastrzelony w Zachęcie przez właśnie fanatyka prawicowego. I to dla mnie, który wtedy miałem dwanaście lat, czytałem w gazecie sprawozdanie z procesu sądowego Niewiadomskiego, który oświadczył, że właśnie chciał zabić Piłsudskiego, no ale ponieważ Piłsudski się nie zjawił na tym w Zachęcie i był Narutowicz, to to zastrzelił Narutowicza. Że szalenie to ja przejmowałem i moi znajomi, koledzy, że po wyroku sądowym, gdzie Niewiadomskiego rozstrzelano, była manifestacja na jego grobie przez wiele tygodni, ten grób Niewiadomskiego był obsypywany kwiatami. Ja to mówię dzisiaj z pewnym przejęciem, że jak to, zamordować niewinnego człowieka, wybitnego naukowca notabene, który niczym się nie naraził, jakimś zachowaniem, przeciwnie, i jeszcze uczcić teraz tego mordercę w postaci tej... Pamiętam nawet, chodziłem zobaczyć ten grób. Był tak kwiatami zasłonięty, że nie było widać tego kamienia. Więc ja o tym mówię, bo to jest taka też przestroga, że nie można jakiejś namiętności politycznej zamieniać w zbrodnię, a jeszcze potem tolerować to i gloryfikować. Na przewodzie sądowym adwokaci się starali, żeby zbadać Niewiadomskiego, czy on nie jest troszkę... Ale politycy nie chcieli, uważali, że nie, on zabił... nie to, że był pomyłony, tylko on w pełni świadomości. Więc to takie te subtelności, które były. No i trzeba powiedzieć, że w 1922 roku w grudniu nastąpiła ta tragedia, parę lat później Piłsudski zrobił zamach stanu i były te wypadki majowe, parę dni to trwało, to też w społeczeństwie stało się jakąś barierą, która podzieliła prawie że do końca, do wybuchu wojny, ten zamach majowy bądź co bądź, mimo że zachowano te pozory demokratyczności, że sejm nadal funkcjonował, i marszałek sejmu, ale jednak to był zamach stanu i 400 osób zginęło w Warszawie. Pamiętam, jak było takie oblężenie, nie można było wychodzić oczywiście z domu, strzelanina i tak dalej. Tak że to był ten okres właśnie, trudności początkowe niepodległego państwa, które szukało dróg, jak dalej system stworzyć. No system się stworzył, że legioniści objęli władzę i główne wszystkie postacie polityczne to byli właśnie dawni członkowie I brygady.

Krzysztof Wyrzykowski: – Sanacja.

Kordian Tarasiewicz: I to tak do końca zostało.

Krzysztof Wyrzykowski: Czy pamięta pan jakieś swoje odczucia dotyczące istnienia Berezki Kartuskiej, na przykład...

Kordian Tarasiewicz: No więc właśnie, potem, jak już niby się unormalizowało to, ale potem przyszła taka fala represji w stosunku do opozycji. I nawet na tej legii tenisowej był prezesem sekcji tenisowej, taki major, Ryszaneł się nazywał, to on tam później w tym Brześciu był komendantem jakiś czas. Potem był Kostek Donacki w Berezce Kartuskiej, ale na początku w Brześciu był... Tak że tam były też takie, że na walnym zebraniu tenisistów chciano tego Ryszanka jakoś zdjąć z tego stanowiska, dlatego że społeczeństwo potępiało ten Brześć. Przecież Witos, wielkiego autorytetu

człowiek, który odegrał bardzo pozytywną rolę jako polityk, to kazali mu tam śmiecie zbierać z podłogi i inne szukyany stosować. To było bardzo smutne.

Krzysztof Wyrzykowski: A jak pana edukacja się potoczyła, proszę opowiedzieć. Szkoły. Bo wiem, że pan w czasie studiów należał do korporacji, i chciałbym, żeby pan opowiedział o tym... Jaką szkołę pan ukończył średnią?

Kordian Tarasiewicz: Ja skończyłem szkołę Ziemi Mazowiecki na ulicy Klonowej, to teraz jest Narczyży Żmichowskiej, gimnazjum, zdaje się, że w tym roku czy w zeszłym koedukacyjna, a przedtem były panienki tylko. Myśmy byli bardzo przywiązani do szkoły. Szkoła była na dużym poziomie, nauczyciele byli bardzo sympatyczni. Tak że potem, jak były takie jubileusze, pięćdziesięciolecie matury i tak dalej, tośmy zapraszali tych profesorów, którzy jeszcze żyli, i fotografowaliśmy się z nimi i tak dalej. Natomiast również te koleżeńskie kontakty się utrzymały, dlatego że moim kolegą na przykład w szkolnym od wstępnej klasy był Kazimierz Rudzki, słynny aktor. Jeszcze muszę powiedzieć, cofając się do tego, jak żeśmy do szkoły zostali zapisani. Więc jak te wojenne sprawy w 1920 roku już przebrzmiały i wojna się oddaliła aż tam na Kresy, to był taki egzamin do klasy wstępnej. No i jak przyszliśmy z matką do tej szkoły na ulicy Klonowej, to raptem pojawili się dorośli ludzie, którzy po schodach tam wchodzili na inne piętra. Ja się pytałem: „co to jest?” „A, to są maturzyści, którzy nie mogli na wiosnę zdawać matury, bo się zapisali na ochotników”. Więc taka była pałeczka sztafetowa. Myśmy wchodzili do szkoły, a oni kończyli szkołę. I zebrało się to w jednym, że tak powiem, dniu, bardzo taka charakterystyczna sprawa. A potem, jak skończyliśmy szkołę, Kazio Rudzki właśnie i Stanisław Janowski, słynny cichociemny, „Agaton”, Wacek Gajewski, bardzo wybitny biolog, później profesor na uniwersytecie, Tadeusz Lot, właśnie z tej rodziny sportowców, tośmy szukali, żeby do jakiejś organizacji studenckiej należeć, i już wtedy pewna moda była, żeby do korporacji wstępować, które miały duże tradycje w czasie, jak Polska nie miała niepodległości. Bo jak wiadomo, w Warszawie nie było uniwersytetu dla Polaków, więc bardzo dużo młodych ludzi studiowało za granicą. W Rydze, w Dorpacie, w Wiedniu. Na tych uniwersytetach właśnie, które wymieniłem. I potem, jak nastąpiła niepodległość, te korporacje się przeniosły do Warszawy. Zaczęły tutaj funkcjonować już w innych warunkach, niepodległościowych. Myśmy tam z kolegami dwoma czy trzema wybrali Jagiellonię, taka korporacja, która powstała w 1910 roku w Wiedniu, no i przechodziliśmy te wszystkie szczeble korporacyjne. No i ja do dziś dnia przywiązuję dużą wagę do tych właśnie lat, bo to była pewna szkoła życia. Był ten najniższy szczebel praktykowania i ci koledzy pokazywali, jak się zachowywać, jakie obowiązki przyjmować. Były kary czasem, trzeba było wstawać o 7:00 rano i meldować się tam do starszego kolegi za jakieś tam uchybienie. Uczyliśmy się przewodniczyć w jakichś zebraniach. To też jest ważne, żeby umieć poprowadzić zebranie. A poza tym było to, że był taki balotaż, tak że jak była nawet czarna jedna gałka, to już nie, kto się nie podobał, to nie mógł. Żeby zachowywać się właściwie. Słowo to słowo. Takie przyjaźnie, które trwają wiele lat i ma się stuprocentowe zaufanie, że ten kolega z tej mojej korporacji, to można na niego liczyć.

Krzysztof Wyrzykowski: Kodeks honorowy.

Kordian Tarasiewicz: Tak, kodeks honorowy. Oczywiście, że pewne takie były nawyki czy tradycje niemieckie, tego właśnie pojedynku. Niemcy byli jacyś pod tym względem trochę nienormalni. Szczycili się na przykład, przy pojedynku szablami można było pociąć sobie twarz, i z dumą, ile miał pręg, to że tyle pojedynków. Ale te pojedynki

to już była rzadkość w Warszawie. Czasem się słyszało, że nawet wśród polityków było... Pamiętam, była taka... Matuszewski taki był, mąż Haliny Konopackiej, tej, co wygrała pierwszy złoty medal, miał z Lednickim pojedynek i strzelali do siebie. Nie był pojedynek na szable, tylko na strzały. I tam był ranny, gdzieś dostał jakąś kulę. Ale to były rzadkości, natomiast było dużo skorych do pojedynków, bo ja muszę powiedzieć, że wielkim sentymentem społeczeństwo darzyło wojsko. No bo tyle lat nie było tego, że rzeczywiście mundur stanowił wielką atrakcję. Ale dzięki temu często oficerowie w jakichś restauracjach, i to w Warszawie, zachowywali się poniżej wszelkiej krytyki. Po paru kieliszkach tam zaczepiali do tańca... Tak że były okazje właśnie do takich spraw honorowych. I ja przytaczam tam w mojej książce, że właśnie Tadeusza Lota to taka była rodzina na ulicy Mokotowskiej, bardzo często Jagiellonowie na kolację tam przychodzili, bo często byli ludzie, którzy mieszkali na wsi, i rodzina była na wsi, a jak przyjeżdżał na studia, to był na stacji.

Krzysztof Wyrzykowski: Z ziemiańskich rodzin?

Kordian Tarasiewicz: Z ziemiańskich rodzin. I oni sobie specjalnie cenili właśnie takie domy, gdzie przyjmowano ich. No i kiedyś taki kolega przyszedł właśnie jeden, który miał sprawę honorową. I rozstrzygnęli sekundanci, że na szable mają się... No i on zaczął pobierać lekcje fechtunku u takiego szermierza tutaj w klubie jakimś sportowym, no i kiedyś się go zapytałem: „No słuchaj, już masz postępy w tym?”. „A – mówi – ja tak”... No i wziął laskę, i chciał pokazać takie cięcie, a zapomniał, że żyrandol był w przedpokoju, rozbił cały żyrandol. No i zakończył się ten pojedynek właśnie tym, że on chodził do tego fechtmistrza, a ten jego przeciwnik nie chodził. I ten nasz kolega... Przy pojedynku jest obowiązek, że obie strony salut robią. I on zaczął robić salut do tego, a tamten podszedł do niego i szablą przeciął do pierwszej krwi. Tak że pojedynek się skończył po 30 sekundach. Więc to taka zabawna przygoda. No i żeby kończyć ten temat korporacyjny, ten ruch korporacyjny pod koniec dwudziestolecia się troszkę degenerował, dlatego że właśnie wciągnięto młodzież do polityki. No i wtedy się strasznie stało, że szereg korporacji powstawało takich nowych, bez tradycji, no i oni mieli jako program polityczny bić Żydów. A to taki jakiś zastraszonego Żydek, przegonić go. Przecież polityczne były takie propozycje, żeby nie dopuszczać na uniwersytet Żydów. [niezrozumiałe, 00:40:04] osobne ławki. A przecież już za granicą słyszeliśmy, co się dzieje w Niemczech. I tutaj nastąpiły podziały, tak że na przykład Jagiellonia wystąpiła ze Związku Korporacyjnego, bo u nas była zasada, polityką się nie zajmujemy. To jest studencka organizacja, która ma na cele zupełnie inne wartości do przestrzegania, a nie politykowanie się i jakieś antyżydowskie awantury. Tak że taki był koniec dwudziestolecia, taki był kryzys na tym odcinku.

Krzysztof Wyrzykowski: Jakie w efekcie studia pan ukończył?

Kordian Tarasiewicz: Wyższa Szkoła Handlowa, SGH.

Krzysztof Wyrzykowski: I od razu planował pan swoją przyszłość w [niezrozumiałe, 00:40:54] tak?

Kordian Tarasiewicz: No więc właśnie, ja dosyć wcześnie zacząłem praktykować, bo może w tej mojej redakcji zabrakło informacji, że rodzinną taką firmą, którą dziadek powołał po tym, jak powiedziałem, że w Krakowie musiał ogłosić upadłość, przenieśli się Tarasiewiczowie do Warszawy. I tutaj dziadek wpadł na taki pomysł, nie mogłem

znaleźć żadnej relacji, skąd mu taka myśl przyszła, żeby założyć zupełnie pionierską, nową dziedzinę, że tak powiem, przemysłu czy handlu, palenie kawy. Kawę się paliło na patelni w warunkach kuchennych, jakaś tam kucharka rzucała to ziarno, płomień był, to jest nie zawsze gazowy, tylko drzewo albo węgiel, no i ta kawa wychodziła bardzo marnie przy takim sposobie. A mój dziadek postanowił sprowadzić specjalne maszyny z zagranicy do palenia kawy i w 1882 roku założył firmę Pluton, TM Tarasiewiczów, Fabryka Palenia Kawy i segregator kawy. No i początkowo było bardzo... znowu groziło upadłością, dlatego że ludzie nie mogli zrozumieć, dlaczego kawa palona jest droższa od surowej. Trzeba było tłumaczyć, że 20% ubywa przy paleniu, że koszty handlowe i tak dalej, i że ta cena musi być inna. Tak że dopiero po paru latach się zaczął ten interes rozwijać. Szczególnie najstarszy syn jego, a mój stryj, Jan Tarasiewicz, bardzo przyczynił się do tego, że się firma rozwinęła i na dwudziestopięciolecie firmy, to jest w 1907 roku, akurat to jest ten rok, gdzie biblioteka powstała na ulicy Koszykowej, było dwudziestopięciolecie i wielka uroczystość, i tak dalej. No a potem, po śmierci Jana Tarasiewicza, firmę prowadził kto inny i w 1914 roku już stała się akcyjną spółką, co już było pewną nobilitacją, że tak powiem, kapitał i tak dalej. No i były bardzo ciekawe zamierzenia takie pionierskie, mianowicie sprzedaż kawy bez kofeiny, wtedy to była nowość, no i najważniejsze, że związali się moi przodkowie z takim wynalazcą, który jak gdyby był pionierem kawy Nesci. Tylko Nesca jest w proszku, a ten wynalazca to robił w cieczy. Ciecz była taka. No i proszę się wyobrazić, że ten wynalazek był tak zaawansowany, że ten wynalazca pojechał do Moskwy czy do Petersburga, żeby pertraktować, żeby wojsko rosyjskie to wzięło. I podobno... No ale wybuch I wojny światowej wszystko to sparaliżował, ale w każdym razie były takie tendencje pionierskie w nowych jakichś takich inicjatywach. A później charakterystyczną rzeczą dla firmy, że ta branża miała to, że były sklepy wyłączne sprzedaży kawy i herbaty, potem herbata też, ale jakieś czas było tylko kawa. No i Pluton przy końcu dwudziestolecia miał w Warszawie dwadzieścia trzy sklepy takie, na ulicy Marszałkowskiej było sześć sklepów czy siedem, był w Gdyni sklep, był we Lwowie sklep, w Łodzi trzy sklepy, w Poznaniu, no i ten interes bardzo się rozwijał, aczkolwiek warunki ekonomiczne kraju... Był pewien kryzys światowy i inne... Niemcy taką wojnę celną wypowiedzieli, bardzo to dotkliwie w latach 30. odczuwała nasza gospodarka, że bardzo ograniczano import, bo trzeba było dolarami płacić, tych pieniędzy nie było, tak że musieli takie zrobić zrzeczenie importerów kawy i herbaty, które wymyślało różne sposoby, żeby te dewizy zdobywać. Kiedyś było tak, że był eksport szyn do Brazylii i zrobiliśmy kontrakt, że za te szyny można było kawę sprowadzić. I specjalne instytucje powołane, bardzo ciekawe były tutaj te różne... No i ja jako praktykant już w 1930 roku zacząłem przychodzić, niezależnie od studiów, na praktykę do firmy. Parę godzin byłem, oglądałem jakieś magazyny, te wszystkie działy. No i jak umarł bardzo zasłużony dyrektor firmy, bo mój ojciec się nie zajmował firmą, on był aktorem, zresztą umarł w 1923 roku. Jak umarł ten dyrektor, który prowadził firmę Pluton, to ja już byłem po czterech latach praktyki. No i ponieważ to była spółka rodzinna, więc akcjonariuszami była nasza rodzina, no więc ustalono, że ja będę dyrektorem. Troszkę taka była ryzykowna decyzja, ale udało mi się jednak firmę wyprowadzić z tych trudnych warunków, bo wszystkie obroty w całej branży spadały po prostu, było bardzo trudno właśnie tę kawę i herbatę sprowadzać.

Krzysztof Wyrzykowski: A ile pan miał lat wtedy, kiedy pan objął posadę dyrektora?

Kordian Tarasiewicz: Dwadzieścia pięć. No ale ponieważ miałem też przyjaciół takich, kolegów, których wciągnąłem, jednego z nich, taki przyjaciel, Antoni Kamiński, zaczęliśmy właśnie od unowocześniania firmy. Bo firma tak zaczęła trącić myszką. Opakowania nowe, przedstawiciele, którzy sprzedawali, sklepy, oświetlenie nowe i tak dalej.

I reklama w gazetach, angażowaliśmy bardzo dobrych grafików, którzy robili świetne etykiety, albo Eryk Lipiński robił takie żarciki, które w wiadomościach literackich były drukowane.

Krzysztof Wyrzykowski: No i wystrój.

Kordian Tarasiewicz: Tak, wystrój. Samochody, które były bardzo ładnie też projektowane, nowy znak firmowy, takie ziarnko kawy w płomieniu czerwonym. Nowy znak, taki bardzo... Tak że jak tramwajem ktoś jechał, a nasze samochody mijają tramwaj, to na dachu były też napisy. To wszystko razem dało efekt, że w 1938 roku osiągnęliśmy obroty takie, jakie były w 1930 roku, a to był szczytowy rok... Koniunktura była jeszcze wtedy bardzo wysoka.

Krzysztof Wyrzykowski: To pod pana kierownictwem już?

Kordian Tarasiewicz: Tak. Może jeszcze warto wspomnieć, że na dziesięciolecie niepodległości Polski była w Poznaniu otwarta PWK tak zwana, Państwowa Wystawa Krajowa. I tam były przedstawione osiągnięcia Polski przez te dziesięć lat, od 1918 roku do 1928 czy 1929. No i matka mnie zabrała i kolega mój, z którym udzieliłem ławę szkolną, do tego Poznania no i bardzo byliśmy dumni. Tam pokazano te najnowocześniejsze wagony, z których Polska słynęła, no i inne... Gdynia się zaczynała już wtedy... to były duże... Właśnie na tle tych wszystkich politycznych swarów jednak szło do przodu to wszystko. Nowa linia kolejowa, Herby-Gdynia, specjalna linia, że tylko węgiel się woziło. Przecież była flota, myśmy z żoną byli na inauguracyjnym rejsie „Piłsudskiego” z Triestu do Gdyni, naokoło Europy. To był najnowocześniejszy wtedy...

Krzysztof Wyrzykowski: Statek pasażerski.

Kordian Tarasiewicz: ...statek motorowy. Zresztą opisuję taki wzruszający moment, że myśmy później wpłynęli, po okrążeniu Europy, w Kanał Kiloński. No i w Kanale Kilońskim jak znaleźliśmy się, zawiadomiono nas, pasażerów, że jutro będziemy mijać się ze starym statkiem „Kościuszko”. Więc wszyscy wylegli na pokład, mam te zdjęcia nawet, i oba statki się pochyliły, bo jak wszyscy przeszli na jedną stronę, to kilkaset osób było, 600 pasażerów było na Piłsudskim, to było takie pożegnanie starego, wysłużonego okrętu, jakim był ten „Kościuszko”, i ten najnowocześniejszy Piłsudski, mijaliśmy się tam w tym Kanale Kilońskim. Ale w ogóle flota polska była bardzo liczna. Myśmy wozili emigrantów do południowej Ameryki. Tak samo osiągnięcia w dziedzinie lotnictwa. Przecież Żwirko i Wigura, RWD, to była sensacja światowa. Jeżeli nasz samolot na tym challenge’u pobił bardzo wysokiej jakości przemysł lotniczy włoski, niemiecki, francuski, angielski, to to było zdumiewające. I to było w Berlinie, to zwycięstwo, Żwirko i Wigura. Ale później następny challenge był już w Warszawie, myśmy byli gospodarzami, i znowu Polacy pierwsze dwa miejsca zajęli. To Niemcy przestali ten challenge organizować. To były wielkie osiągnięcia.

Krzysztof Wyrzykowski: A pan również miał okazję do lotu samolotem w tamtych czasach?

Kordian Tarasiewicz: No właśnie, tak jak po maturze żeśmy się spotkali pod Krakowem, ktoś wpadł na pomysł, że właściwie wrócimy samolotem do Warszawy, bo cena biletu była równa z drugą klasą. No i namówiłem właśnie

Tadeusza Lota, jeszcze jednego kolegę i bryczką taką zajechaliśmy na to lotnisko wtedy pod Krakowem. To był samolot czteroosobowy. Cztery osoby plus dwóch pilotów. No i dolecieliśmy przez Katowice, tam było lądowanie w Katowicach, do Warszawy. To był 1929 rok, właśnie rok maturalny. I w tym roku były założone Polskie Linie Lotnicze. Ten znak żurawia, do dziś dnia istniejący, zaprojektowany przez Gronowskiego, takiego grafika i do dziś dnia.

Krzysztof Wyrzykowski: Czyli pan był jednym z pierwszych pasażerów lotnictwa cywilnego.

Kordian Tarasiewicz: No właśnie, ja to nawet na jakiś jubileusz napisałem, ale wtedy... Bo LOT był przejmowany przez jakąś cudzoziemską tą i nie mieli głowy, żeby zrobić jakąś uroczystość. Nie chodzi o mnie, tylko w ogóle, że było pięćdziesiąte.

Krzysztof Wyrzykowski: A jaki to był samolot? Czy to był zamknięty, kabinowy?

Kordian Tarasiewicz: Tak, zamknięta kabina i Junkers. Junkers z taki falistej blachy.

Krzysztof Wyrzykowski: Dwupłatowy, tak? Dwuskrzydłowy, tak?

Kordian Tarasiewicz: Nie, jedno skrzydło. I potem ja się do samolotu bardzo przyzwyczaiłem, jak żeśmy z żoną kiedyś robili wycieczkę do Grecji, tośmy też samolotem polecieeli, ale tylko do Salonik jeszcze dochodził, do Aten nie, i potem statkiem do Pireusu żeśmy dopłynęli.

Krzysztof Wyrzykowski: Proszę wspomnieć w takim razie o tym, jak pan żonę poznał, bo tutaj żona się pojawia, a ten fakt, kiedy pan się ożenił?

Kordian Tarasiewicz: No więc myśmy właśnie w tej Legii grali w tenis i tam była taka panna jedna, która dobrze grała, i często żeśmy się widywali, okazuje się, że... Bo żona jako pensjonarka skończyła pensję Platerówny na ulicy Pięknej. I kiedyś, jak graliśmy z tą zawodniczką, o której wspominałem, przyszła moja żona. I poznaliśmy się na korcie tenisowym. I potem, jak ona jeszcze studiowała, a ja już miałem samochód, to podjeżdżałem samochodem, żeby odebrać ją z pensji, co oczywiście stanowiło zazdrość innych koleżanek, ale to była szkoła bardzo wybitna i muszę powiedzieć, że poświęciłem cały rozdział w książce tej szkole, która w czasach PRL-u jednak odzyskała ten budynek, i tam odbywają się trzy nawet gimnazja różnego szczebla, dzięki pracy społecznej byłych absolwentek tej szkoły.

Krzysztof Wyrzykowski: A pana żona z jakiej rodziny pochodziła?

Kordian Tarasiewicz: Żona była córką komandora we flocie rosyjskiej, a potem, po niepodległości, był komendantem pierwszego takiego portu, w Pucku, jeszcze Gdyni nie było, tylko w Pucku, no i był później w służbie cywilnej we flocie naszej, tak że jak żeśmy płynęli tym „Piłsudskim”, statkiem, to komandor Panasewicz, ojciec mojej żony, był takim doradcą kapitana, który po raz pierwszy takim kierował statkiem, jakim był „Piłsudski”.